

## Premiera w operze

## Śmiech Boccaccia

Wrocławską operę, za Boccacciem, namawia nas do śmiechu. Prawda — śmiech to zdrowie. A śmiech Boccaccia to nawet coś więcej: jak píše cytowany w premierowym programie J. Adamski — „to śmiech wyższości i dystansu wobec ludzkiej istoty i ludzkiego świata; śmiech zemsty za noc, zbrodnie, przerażenie, ale i śmiech sympatii, uśmiech porozumienia, ryk śmiechu z ochoty, z radości”. Oczywiście, trudno tego wszystkiego oczekiwać od „Boccaccia” F. Suppého — opery komicznej z epoki Franciszka Józefa. Najwięcej tu owej beztrudnej zabawy, pogodnego żartu, trochę kopiarstwa. Przyprawianie rąbów mężom przez nadobną Florencjankę oraz miłosne podboje Boccaccia i jego kompanów — to główne wątki tego dzieła. Ale i tu ujawnia się niekiedy głębszy, humanistyczny sens chichotania. Wszelako o tym, czy stanie się ono okazją do eszrej, swanturniczej blazenady, czy też ukaze jego pogłębione znaczenie, decydują realizatorzy i wykonawcy.

Inscenizacja i reżyseria Zbigniewa M. Hassa oraz realistyczna, barwna scenografia Małgorzaty Treutler zdają się trafnie ustawiać przedstawienie w tradycyjnej konwencji. Może tylko w szczególniejszym rozwiązaniu pewnych zadań aktorsko-muzycznych — indywidualnych a zwłaszcza zbiorowych (chóru) — reżyser zdradza czasem bezradność.

Z pewnym zaskoczeniem musiałem natomiast skonstatować latwość, swobodę i naturalność, z jakimi nasze panie potrafiły znaleźć się w rolach frywolnych bohaterek „Dekameronu” (na którym opiera się libretto), mieszcząc się zresztą znakomicie w lekkim stylu muzyki Suppého. Myślę zwłaszcza o „drugiej” obsadzie, która (rzecz zadziwiająca!) generalnie „rehabilitowała” premierowe przedstawienie — a więc w pierwszym rzędzie o Agacie Miynarskiej (Beatrice), Marii Łukasik (Isabella) i Urszuli Sulkońskiej (Fiametta) — „świętych” muzycznie i postaciowo. Sekundowali im nie mniej udatnie panowie. Śmiało przedstawienie na młodość, nawet na debiutantów i adeptów, w połączeniu ze swobodnym i nader trafnym doborem bliższych i dalszych współpracowników wrocławskiego zespo-

tu przyniosło w tym wypadku właśnie ów niespodziewany sukces „drugiej” obsady. Świeży nienaganny wokalnie i dykcyjnie Tadeusz Galczuk (w połączeniu z doświadczeniem J. Zipsera byłby idealnym Boccacciem). Janusz Monarcha (Mnich) — kolejny objawiony we Wrocławiu, utalentowany bas, Mieczysław Milun (Cyrulik) — którego powrót do Wrocławia ogromnie cieszy, szlachetnie brzmiący bas Józefa Fraksteina (Majordomus), a także Tadeusz Piszek (Książek) czy Zbigniew Kryczka (Sprzedawca Książek) — to nader korzystny obraz aktualnych możliwości. Wcale obiecująco po-

szerzają je gościnnie doangazowani Czesław Łuczak (Leonetto), Janusz Kujanek (Lambertuccio) i bardzo tu użyteczny Stanisław Stelmazak (Bednarz). Nie chcę ujmować indywidualnych walorów wielu premierowym wykonawcom, ale akurat pełny urok owej zabawy Suppého w Boccaccia ujawnił się bez ich udziału... A również i cała strona muzyczna przedstawienia, pod kierownictwem Bogdana Hoffmanna, dopiero ze sceny na scenę, ze spektaklu na spektakl jakby nabiera rumieńców. To samo zdaje się dotyczyć starannie przygotowanego (przez Janusza Mencielę) i dobrze brzmiącego chóru. Całości dopełniają barwne sceny baletowe (w choreografii Henryka Rutkowskiego) oraz... pikantna, „tematyczna” wystawa w foyer, którą organizatorzy zdają się traktować jako „przynętę” dla publiczności.

KAZIMIERZ  
KOŚCIUKIEWICZ